

Makowski - Kryzys ze str. 20

Tyle że kiedy nowy prezydent Barack Obama, idąc tu śladami Busha, prosił Kongres o akceptację kolejnych miliardów dolarów w ramach tzw. pakietu stymulacyjnego, kierownictwo AIG – mimo że firmie wciąż groziło bankructwo – przyznało dla swej kadry menedżerskiej 218 mln dolarów nagrody. To nie odosobniony przypadek. Analogicznie zachowali się menedżerowie z londyńskiego City.

Znane amerykańskie przysłowie mówi: „Jeśli ty jesteś winien komuś 1000 dolarów, to jest to twój problem. Jeśli jesteś winien bankowi 100 tys. dolarów, to też jest twój problem. Jeśli jednak winien jesteś bankowi 100 milionów dolarów, to jest to problem banku”. A jeśli duży bank zaczyna mieć problemy, to jest to też problem państwa – czyli nas wszystkich. Tym bardziej, jeśli znajdujemy się w epicentrum stanu wyjątkowego. Mając jednak przystawiony tak fikcyjny nóż do gardła w postaci krachu światowej gospodarki, ludzie bez mrugnięcia okiem zgodzili się na rozwiązanie, które miały niby ratować ich skóry.

I ostatnia sprawa: kto na kryzysie zyskał, a kto stracił? Mówi się, że kryzys uderzył w klasę zarządzającą finansami. Nic bardziej błędnego. To oni są beneficjanci tej zapaści. Zgoda, że tylko w tym roku w samych USA upadło już 115 banków. Ale co niektórzy koledzy bankowcy z nieskrywaną szczerością wyznają, że to selekcja naturalna, która i tak – wcześniej czy później – była nieodczoną. Sektor finansowy przypominał bowiem zatłoczoną kolejkę, więc przewietrzenie wyszło mu tylko na zdrowie.

Ponadto faceci z Wall Street dostali to, czego chcieli – czyli publiczne pieniądze. Dlatego dziś, w chwili, kiedy położyli już łapę na publicznej kasie, mogą ogłaszać z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, że recesja się zakończyła, a stan wyjątkowy zostaje odwołany. Uff, znów wszystko będzie jak dawniej. Paradoksalnie, przegranymi tego kryzysu nie są także ludzie biedni, wykluczeni, pozbawieni pracy. Sytuacja maluczkich w większości przypadków sprowadzająca się do wegetacji była tak samo zła przed ogłoszeniem kryzysu, jak zła jest teraz, kiedy obwieszczany jest jego koniec.

Jednak największym paradoksem obecnego kryzysu jest to, że to wdowi grosz uratował sektor bankowy. Gdy rządy mają ratować zagrożone upadkiem zakłady pracy, a tysiące ludzi trafiają na bruk, rządy mówią, że nie będą dotować nierentownych zakładów. Kiedy trzeba było wyłożyć kasę na ratowanie upadających banków, nikt nie zadawał kłopotliwych pytań.

Neoliberalowie przekonali nas, że ludziom nie można dawać ryby na talerzu, ale wędkę, by sami mogli łowić. Dziś jednak widać, że sami łowić muszą tylko biedni. Rekinom finansjery demokratycznie wybrany rząd daje za darmo nie tylko wędkę, ale także przygotowane zarybione jezioro, by mogli łowić w spokoju, popalając w tym czasie kubańskie cygara. Czy możemy się więc dziwić, że kryzys został właśnie odwołany, a stan wyjątkowy zawieszony?

Czy powinno nas zdumiewać, że takie banki jak Goldman Sachs, które uciekły ponoć spod gilotyny mającej zakończyć ich żywot, osiągną od dawna nienotowane zyski, a kadra zarządzająca już przynajmniej sobie niebotyczne premie, gdyż bank oddaje zaciągnięte od państwa pieniądze? Pierwszy raz wygłaszany dziś bon mot, że znów będzie jak dawniej, brzmi naprawdę złowieszczo. □

W Polsce jest praca ze str. 19

Zajmuje się sprowadzaniem cudzoziemców do pracy w Polsce. Przerzuca ich do klasycznych obozów pracy. Ludzie pracują tam w skandalicznych warunkach, takich, które jeszcze niedawno pokazywaliśmy na przykładzie naszych obywateli pracujących w różnych krajach Europy. Dziś mamy to samo zjawisko, tylko w Polsce, gdzie przybysze ze wschodu traktowani są tak samo jak nasi pracownicy np. we Włoszech - mówi Tadeusz Zając, główny inspektor pracy.

Pracuj, choćbyś umarł

Na włoskie obozy pracy zapatrzył się właściciel pól z sadzonkami kwiatów w niewielkiej miejscowości pod Opolem. Potrzebował rąk do pracy, sporo, bo ponad sześćdziesiąt osób. Płacić za dużo nie chciał, więc sprowadził pracowników z Ukrainy, a nawet Tajlandii. Cudzoziemiec i mniej chce zarobić, i nie poskarży się tak od razu na złe traktowanie, bo nie zna języka. A skarżyć było się na co. Praca przy kwiatkach okazała się śmierdzącą robotą.

Pracować trzeba było na okrągło. Siedem dni w tygodniu. Bez ubezpieczenia, bez opieki socjalnej. Czasami na polu, czasami „na zapleczu” w nieczynnym elewatorze zbożowym. Zawsze długo. Normą było kilkanaście godzin dziennie, ale nikogo nie dziwiła praca nawet po dwadzieścia godzin na dobę - od świtu do późnej nocy. Odpocząć nie sposób, tym bardziej, że "hotel" to ten sam stary elewator zbożowy. Wilgoć i grzyb na ścianach, toalet nie ma, w kątach worki i połamane płyty eternitowe z rakotwórczym azbestem. Życie się nie da. Ale człowiek ponoć się szybko przyzwyczaja. Choćby gonął już resztką sił.

- Podczas naszej kontroli jedna z pracujących Ukrainek dosłownie ślaniała się na nogach. Wezwaliśmy pogotowie. Karetka natychmiast zabrała ją do szpitala. Przez kilka dni kobieta była nieprzytomna, lekarze podejrzewali nawet, że ma wirusa tzw. świńskiej grypy. Okazało się, że miała obrzęk płuc. Nawet w takim stanie pracowała przy kwiatkach - opowiada Łukasz Śmierciak, rzecznik prasowy opolskiej delegatury Państwowej Inspekcji Pracy.

Inspektorzy pracy na podmiejską plantację kwiatów weszli pierwszy raz w październiku. Zostali tam do dziś. Firmę sprawdzają też strażacy, inspektorzy budowlani, sanepid, Straż Graniczna. Cudzoziemcy przebywali w Polsce legalnie, mieli nawet pozwolenia na pracę. Szkopuł w tym, że mieli pracować w zupełnie innych miastach, w różnych firmach. Jak to się stało, że wyładowali w obozie pracy pod Opolem wyjaśnią kolejne kontrole. Niektórzy nie czekają na jej rozstrzygnięcie. Część obcokrajowców wróciła do swoich krajów. Inni zostali w Polsce. Nadal wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Musi to być mocna wiara, ponieważ warunki pracy w Polsce są dla obcokrajowców coraz gorsze. Państwowa Inspekcja Pracy policzyła, że przepisy łamie już co czwarta firma zatrudniająca cudzoziemców. Tylko w ciągu kończącego się właśnie roku dwukrotnie wzrosła liczba osób pracujących na czarno. Najwięcej Ukraińców, Chińczyków, Białorusinów, Hindusów. Ale nie tylko.

Chorujesz, płac karę....

Ostatnio głośno było o wykorzystywanych do niewolniczej pracy Filipinkach. Kobiety przyjechały do Polski zbierać pieczarki dla jednej z firm na Podlasiu. Obietnice mogły skusić. Praca osiem godzin dziennie, przez pięć dni w tygodniu. Do tego pieniądze za nadgodziny, ekwiwalent za wyżywienie, opieka medyczna. Bajka, zwłaszcza, że obiecana pensja, 560 dolarów miesięcznie, to dwa razy więcej niż czteroosobowa rodzina zarabia na Filipinach. Ale w Polsce nie było już

mowy o lekarzu, wolnych dniach, dolarach. Był zabójczy akord - sto kilogramów pieczarek dziennie. Praca od świtu do nocy, bez wolnych dni, z pięciominutową przerwą na posiłek. Do tego żałosne pieniądze - 180 złotych za dwa tygodnie pracy.

- Szef powiedział nam, że jak któraś będzie chora, to niech idzie do lekarza, ale zapłaci z własnych pieniędzy. Jeżeli będzie miała zaświadczenie, że jest chora, to może nie przyjdzie do pracy. W innym przypadku zapłaci karę za nieobecność. Co z tego, że będzie miała wolne za chorobę, jak potem musi zrywać dziennie nawet po dwieście kilogramów pieczarek, żeby nadrobić dni choroby. To fizycznie niemożliwe - skarżyły się Filipinki dziennikarzom „Słowa Podlasia”, którzy jako pierwsi opisali ich dramat.

Kobietom pomogli mieszkańcy Parczewa, gdzie Filipinki mieszkają. Ksiądz zarządził zbiórki ubrań, żeby kobiety nie chodziły w mroźne wieczory w letnich klapkach i cienkich swetrach. Część z nich jednak już uciekła z polskiego piekła. Miały dość kieratu. Inne zostały. Mają do spłacenia długi, które zaciągnęły na przyjazd do Europy. Średnio po cztery tysiące dolarów. Teraz liczą na pomoc prokuratorów, którzy zajęli się sprawą obozu pracy, w którym pracowały.

- To właśnie materiał dla prokuratora. Trudno osoby, które wykorzystują i zmuszają do wręcz niewolniczej pracy, nazywać pracodawcami. To zwykli przestępcy i tak powinni być traktowani - mówi ostro Henryk Michałowicz, ekspert rynku pracy Konfederacji Pracodawców Polskich.

Kiedys PGR, dziś obóz pracy...

Problem w tym, że nie wszystkie przypadki wyzysku wychodzą na światło dzienne. Najgorzej pod tym względem jest na dawnych popegeerowskich wsiach. - To druga, czarna Polska, której zupełnie nie znamy. Tam bieda aż piszczy, kto ma pracę jest szczęściarzem, o umowę nawet nie pyta. Zresztą na wsiach w ogóle nie istnieje zwyczaj zawierania umów o pracę, przestępczania jakiś norm. Kwitnie wyzysk - uważa Lech Obara, mecenas znany m.in. z reprezentowania byłych pracowników sieci Biedronka, w głośnej aferze dotyczącej wyzysku pracowników przez dyskont.

Lech Obara przypomina sobie sprawę sprzed kilku lat. Na jednej wsi na Warmii działała chlewnia. Dawała utrzymanie całej wsi. - Wszyscy pracowali w niej na czarno. Kobiety, nawet dzieci. Były przypadki, że za swoją pracę nie dostawały pieniędzy, tylko mięso na obiad. Godziły się na to. Życie zmusiło je do tego - mówi mecenas Obara.

W miastach wcale nie jest lepiej. Łodzianka Wioletta Zelek o możliwości pracy w nadmorskim barze w Darłowie dowiedziała się od znajomych. Firma opłacała przejazd nad morze, wyżywienie, nocleg i dniówkę – sto złotych na rękę. Skończyło się na obietnicach.

- Pracowaliśmy bez umowy, od ósmej rano do pierwszej w nocy, nie było mowy o dniu wolnym. Nawet na wyjście do toalety patrzyli krzywym okiem. Spać musieliśmy w namiotach, a szefowie karmić chcieli nas zielonym już mięsem. Gdy się zbuntowałyśmy, kazali nam się pakować. Zapłacili tylko połowę obiecanej stawki. O zwrocie kosztów podróży nawet nie chcieli słyszeć - opowiada nam Wioletta.

Wystarczy przejrzeć fora internetowe, żeby przekonać się, że przypadek łodzianki nie jest odosobniony. W sieci aż roi się od utyskiwań pracowników dużych firm rozsianych po całym kraju i małych, rodzinnych biznesów, zatrudniających tzw. pracowników sezonowych. Niektóre opisy firmowej rzeczywistości mrożą krew w żyłach.

-Sprzątanie w firmie jest surowo zakazane, choć trzeba im przyznać, że ostatnio z szatni wywieźli trzy pełne taczki śmieci. Gniły już. Dla szefów liczy

się tylko produkcja. Pracowników traktują jak podgatunek. Nie mamy stołówek. Jemy posiłki na hali produkcyjnej, w oparach steryni i acetonu. Smród chemikaliów roznosi się wszędzie. Wszędzie pył. Ludzie piją go w herbacie i jedzą w kanapkach - napisał na swoim blogu jeden z internautów.

Oczy że zdumienia przecierali też inspektorzy pracy z Bydgoszczy, kiedy przyszli skontrolować jedną z kwaciarni w centrum miasta. Obok kwaciarni był włącz do piwnicy, w której rozgrywał się dramat kwaciarek. W przenikliwym zimnie, kobiety przygotowywały wiązanki. Robiły to niemal po ciemku, ponieważ w piwnicy nie było okien. Nie było też ciepłej wody, a ubikacja uragała cywilizowanym normom. Panie musiały chodzić po „firmie” skulone, bo sufit był tak niski, że nie pozwalał na wyprostowanie sylwetki.

- Nakazaliśmy właścicielce kwaciarni zamknięcie firmy. Trwają kontrole czy zastosowała się do naszych postanowień – mówi nam Katarzyna Pietraszak, rzeczniczka prasowa okręgowego inspektora pracy w Bydgoszczy.

Interes musiał też zwinąć „biznesmen” spod Opola, do którego kontrolerzy zapukali w sierpniu tego roku. W naprędcie sklecone stodoły bez drzwi i otynkowanych ścian mężczyzna prowadził zakład stolarki. Zatrudniał dwóch pomocników. Oczywiście na czarno.

Inspektorzy przyznają jednak, że wykrywane przez nich patologie, to tylko wierzchołek problemu. I na każdym kroku podkreślają, że coraz częściej zamiast z domorosłymi biznesmenami, mają do czynienia z dobrze zorganizowanymi gangami. Bezwzględny. □

Pogonowski - Gniew Islamu ze str. 17

Wszelkie oferty pokoju ze strony rządu w Islamabad, al-Qaeda uważa za fałszywe i podsuwane przez Amerykanów. Zima pomaga powstańcom, zwłaszcza w górach. Nim śniegi stopnieją wojownicy al-Qaedy przygotowują ataki na wojsko Pakistanu w regionie Tora Bora.

Pro-amerykańska koalicja w Islamabad traci kontrolę też z powodu opozycji sądu najwyższego i wielu wojskowych. Sąd najwyższy unieważnił układy prezydenta Muszarrafa z USA z 2007 roku, oraz tak zwany „porządek dla zgody ogólnonarodowej” w ramach, którego wyroki za korupcję miały być unieważnione, zwłaszcza przeciwko obecnemu prezydentowi Asie Ali Zardari i biurokratom oskarżonym o korupcję i sprzeniewierzenie funduszy społecznych jak też stosowanie terroru przeciwko muzułmanom. Jest wznawiana sprawa w Szwajcarii o odzyskanie pieniędzy skarbowych ukradzionych przez Zardari i jego żonę Benazir Bhutto.

Tymczasem al-Qaeda finansuje napady piratów koło Somalii oraz działa w Jemenie gdzie jest organizowany ruch oporu „Synów Ziemi” – „Ibnul Balad” w tradycji wcześniejszych ataków na marynarkę i obiekty w USA, w Kenii i w Saudi Arabii. Według szefa Asia Times w Pakistanie, Syed’a Saleem’a Szahazad’a al-Qaed’a osiąga przewagę w Pakistanie po pięciu latach starań.

Pesymistyczny obraz sytuacji w Azji Środkowej może ulec zmianie tylko w wypadku otwartego poparcia USA dla muzułmanów w obronie praw Arabów w Jerozolimie i w Palestynie. W przeciwnym razie spełnią się nadzieje przywództwa al-Qaedy, które ocenia, że jej działania w Jemenie i w Somalii będą zwycięskie w znacznie szybszym czasie niż w Pakistanie, dzięki szerzeniu się gniewu Islamu na oś USA-Izrael. □